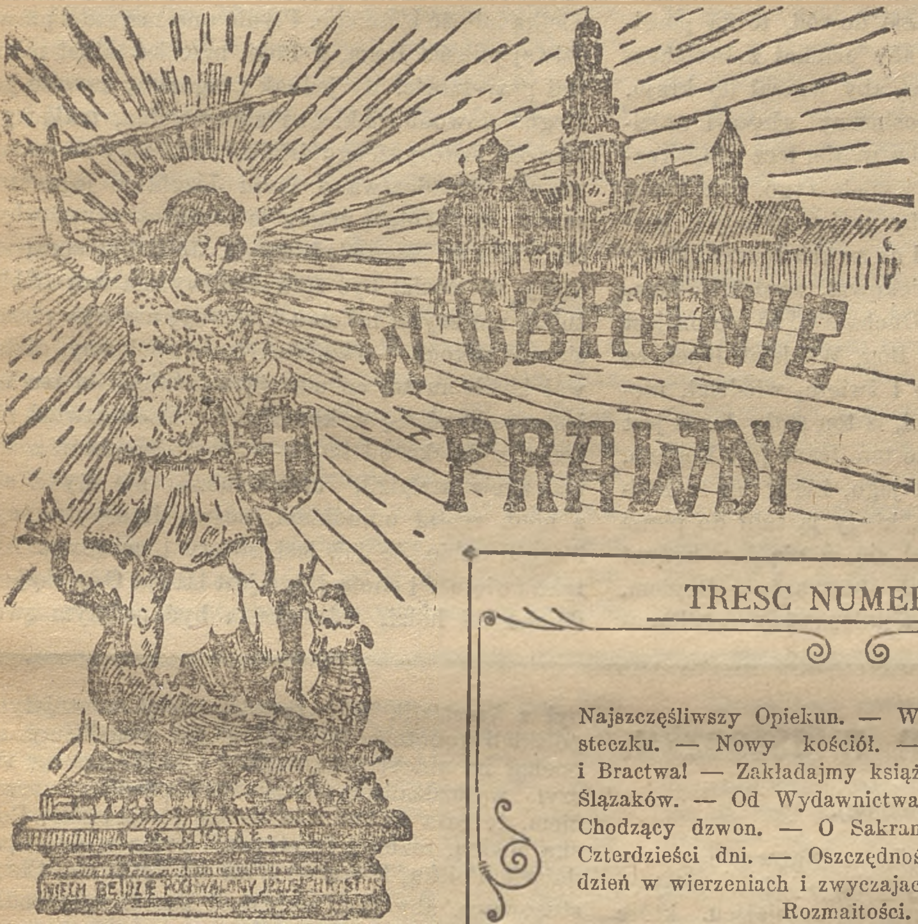
Nr. 3. Kraków, Marzec 1920. Rok XIV.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
Kraków, plac Maryacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 12 m półrocznie 6 marek.

Cena egzemplarza wynosi 1 markę.

TRESC NUMERU III:

Najszczęśliwszy Opiekun.

Mieszkał w miasteczku galilejskiem Nazarecie, pochodził z rodu Dawidowego, na imię miał Józef. Był cieślą z zawodu, jak niesie dawne podanie. Był człowiekiem wielkich cnót, prawym, czystym; ewangelia opowiada o nim jedno tylko słowo, kreśląc jego moralną wartość, ale to słowo jest takie, że w niem mieści się wszystko. Wspomina ewangelia mianowicie, że Józef był człowiekiem sprawiedliwym. Jest to największa pochwała, jaką znaleźć możemy w tej księdze nad księgami. Był Józef sprawiedliwym tak w stosunku do Boga, jak w stosunku do siebie i do drugich. W stosunku do Boga — Józef musiał się dużo modlić i dużo z Bogiem obcować. Był rzemieślnikiem, żył z pracy rąk, nie był bogatym. Praca go jednak nie przygniatała. On umiał podzielić swój czas, umiał znaleźć porę na modlitwę i na pracę. W życiu jego musiała panować wzniosła zasada: Módl się i pracuj. Czy jest jakiś dowód na to, co mówimy? Czy na podstawie ewangelii możemy mówić o Józefie, iż pomimo niskiego zajęcia musiał często wznosić ducha ku Bogu i że Bóg za to nagradzał go obfitą łaską?

Tak, jest na to dowód. A pierwszym jest słowo

„sprawiedliwy“, jakie ewangelia do Józefa odnosi. Drugim jest to wielkie, to nadzwyczajne wybranie go przez Boga na Opiekuna Jezusowi i Maryi. Żaden z ówczesnych Izraelitów nie był godny tego zaszczytu — Józefa Opatrzność wywyższyła ponad innych. Trzeci wreszcie dowód, to są poselstwa anielskie do niego, aby uciekał z Betlehem do Egiptu i potem znowu, aby wracał do kraju. Jak on wtenczas jest posłuszny głosowi anielskiemu, jak on się nie waha wcale, lecz czuje rozkaz Boży i natychmiast wypełnia go, jak umie; dokłada wszystkich sił, aby go jak najlepiej spełnić. Kiedy zaś Jezusa miał na swych rękach, kiedy go piastował i nim się opiekował, wiedział doskonale, że Dziecię to jest z Ducha św., że nie on jest dla Niego ojcem, ale sam Bóg. Wiedział Józef, że to Dziecię jest niezwykłe i święte, wiedział, niepodobna, żeby nie wiedział, iż ten mały Jezus jest Messyaszem obiecanym, że ten Jezus jest Bogiem. Jakież tedy były uczucia jego, kiedy na tę Najświętszą Dziecinę patrzył, kiedy ją tulił do piersi i całował — i wpatrywał się w nią bez końca! Było to najściślejsze Jego obcowanie z Bogiem, była to jedna wielka, żywa, miłosna jego modlitwa.

Gdy się zapytamy, jakim był św. Józef w stosunku do swych bliźnich, do swych sąsiadów, stajemy z początku bez odpowiedzi. Wprawdzie z góry wiemy, że człowiek, którego Bóg wybrał Synowi Swemu na Opiekuna, musiał posiadać wielką miłość bliźniego. Płynie ona zawsze z prawdziwej miłości Boga, a Boga przecież Józef miłował prawdziwie. My jednak pragniemy zawsze jakiegoś dowodu, jakiegoś zapewnienia, mającego wartość historycznego źródła. Jeśli tedy szukamy takiego świadectwa o życiu Józefa, o jego stosunku do bliźnich, mamy je w określeniu, że był człowiekiem „sprawiedliwym“. Jeśli był sprawiedliwy, to musiał być sprawiedliwy dla swych bliźnich, nie czynił nikomu krzywdy, nie wywyższał się nad nikogo — cichy, skromny, pokorny, oddawał każdemu to, co mu się należało. Nie trudno jest zamknąć się w komorze i tam odmawiać różańce z daleka od ludzi — nie jeden może sobie tak życie urządził, unika ludzi, nie styka się z nimi, został odludkiem, poświęcił się dewocyi i myśli sobie, że już jest święty i cnotliwy. Ale taka świętość i cnota jakże jest łatwa! Gdy się jest daleko od ludzi, nie można być pewnym swej

W galilejskiem miasteczku.

(Wspomnienie).

Chcę napisać cośkolwiek o Nazarecie — raczej nie o samem mieście, tylko o jednem miejscu w tem mieście. Chcę mowić o miejscu, które starożytne podanie ściśle wiąże ze świętem Zwiastowania, jakie obchodzimy w marcu. Chcę zaś o tem pisać tem chętniej, że miejsce to widziałem na własne oczy, stąpałem po niem i całowałem je ze łzami w oczach. Ile razy jest mowa o Zwiastowaniu anielskiem, ile razy usłyszę o Galilei i o miasteczku Nazaret, zawsze mi przychodzi na pamięć chwila, gdy tam pątnikowałem i gdy tam zostawiłem swe najmilsze, najrzewniejsze wspomnienie.

Było to w r. 1914, prawie na miesiąc przed wybuchem światowej wojny. Pod przewodem ks. Biskupa Nowaka i Reformatów krakowskich wyjechała pielgrzymka, licząca kilkaset osób, na wschód — do Ziemi św. W pielgrzymce brała udział cała Polska. Byli ludzie z pod Prusaka, byli z dawnego Królestwa Kongresowego, przyjechali niektórzy z Litwy i z kresów wschodnich — z pod Kijowa. Pamiętam robotnika, który przybył z Westfalii, jako przedstawiciel tamtejszych polskich robotników. Kiedy już wsiedliśmy na pociąg na stacyi krakowskiej i kiedy pociąg ruszył, wyjeżdżaliśmy wszyscy zapewne z uczuciem, że cała ta zebrana rzesza jest Polską, Polską biedną, rozbitą, rozebraną i coraz więcej upadającą, Polską, która wyrywa się do Grobu Chrystusowego, aby tam wypłakać litość, sprawiedliwość i miłosierdzie Boże. Któż z nas przypuszczał wtenczas, że to, o co żebrzemy, wnet będzie wysłuchane i że za parę tygodni po naszym powrocie zacznie się staszliwy sąd Boga nad światem ?

Jechaliśmy pociągiem do Tryestu, stamtąd zaś morzem na parowcu „Tyrolia“, służącym zazwyczaj do przewożenia pielgrzymek. Jechaliśmy morzem sześć dni — pogodę mieliśmy przecudną, dnie słoneczne, noce księżycowe, morze ukołysane, spokojne. Przedświt był dopiero, kiedy siódmego dnia przybił okręt do portu palestyńskiego, Haify. Raczej nie przybił do portu, bo port ten jest tak płytki, czy też najeżony skałami, że okręty muszą się zatrzymywać z pół mili od brzegu, kto zaś chce dostać się na brzeg, musi wsiąść na łódź i wśród nieopisanego zgiełku moslimitów, wołających o „bakczysz“, dobić do portu. Wyszliśmy na brzeg, zwiedziliśmy klasztor OO. Karme-

cnoty. Dopiero, gdy człowiek, spełniając swe obowiązki, styka się ze światem i panując nad sobą, stara się być dla bliźnich dobrym, dopiero wtedy może ufać, że przy pomocy Boga i przy swej pracy nad sobą ma trochę cnoty. Bo najtrudniej jest żyć z bliźnimi. Św. Józef nie był zapewne odludkiem, kiedy pracował w rzemiośle i musiał na chleb codzienny pracą swą zarabiać i utrzymywać Jezusa i Maryę. Musiał często stykać się z ludźmi, szedł do nich po zamówienia, to znowu oni szli do niego, szedł do nich, aby u nich pracować około domów — a mimo wszystko nigdy nie wykraczał przeciw miłości bliźniego. Był zawsze w stosunku do ludzi „sprawiedliwym".

Jakim zaś był Józef w stosunku do Maryi? Z Ewangelii wyczuć można, iż patrzył na Nią ze czcią i największym szacunkiem. Widać to na samym początku, kiedy dopiero poślubił Ją. Poznał mianowicie, że Marya jest w stanie brzemiennym. Musiał wpaść w zakłopotanie, musiał się wahać, jak postąpić wobec tego, co uczynić? I powiada ewangelia, że nie chciał Maryi wyjawić przed światem i postanowił ją opuścić. Nie chciał jej wyjawić, bo Ją szanował, bo wiedział, że świeciła blaskiem pokory i skromności. O swoim stanie zaś nic mu nie mówiła, zostawiając to Bogu. On zaś nie umiał sobie tego wyjaśnić i postanowił się usunąć. Dopiero Bóg we śnie zażądał jego zostania i opiekowania się Maryą. Z tego wypadku przebija wielki szacunek i głęboka cześć dla Maryi — a cześć ta musiała się pogłębić, gdy Jezus już znajdował się pomiędzy nimi.

A jaki był św. Józef w stosunku do siebie samego? Był „sprawiedliwy" t. zn. żył tak, jak nakazywało przykazanie Boskie. Pełniąc wolę Zakonu Bożego wzrastał w świątobliwości, wzrastał w cnotach. Był Józef „sprawiedliwym" czyli cnotliwym. Z pomiędzy cnót jego wybijała się jedna cnota czystości i niewinności. Stąd na obrazach przedstawiają go zawsze z białą lilią w ręce, stąd młodzieńcy i dziewice mają go za patrona swej niewinności i czystości. Był on małżonkiem Maryi, bo ją poślubił — ale przecież właściwie był tylko jej opiekunem i opiekunem Jezusa. Wszak Marya ślubowała Bogu dozgonne panieństwo — aniołowi zwiastującemu mówi przecież wyraźnie, że „męża nie zna" t. zn. że ślubowała nie zawierać związku z mężczyzną. I Józef o tym jej ślubie wiedział

---

litów na górze Karmel, wznoszący się nad Haifą, poczem na drugi dzień wyjechaliśmy do Nazaret. Jazda na brykach trwała kilka godzin. Kiedy znajdowaliśmy się więcej, niż w połowie drogi, wysunęła się przed nas osamotniona i wyniosła, kopiasta góra Tabor. Szarożółta, bez zarośli, pusta — piętrzyła się ku niebiosom. Gdy się człowiek patrzył w tę górę, gdy ją ogarnął oczyma, czuł dziwny pociąg, aby tam wyjść i pomodlić się. Tabor bowiem wydaje się w sam raz stworzonym na to, aby się na nim w osamotnieniu modlić do Boga. Dziwnie to ponętna góra i mimo pustki dziwny urok wywierająca. Widzowi zdaje się, że tamby go Bóg prędzej usłyszał, niż gdzieindziej, że tam Bóg bliżej jest, niż gdzieindziej. Chrystus miłował tę górę, wychodził na nią nieraz nocami na modlitwę. Na nią to wyszedł ze swymi trzema Apostołami i przemienił się przed nimi, że oblicze Jego jaśniało, jako słońce, a szaty Jego były, jako śnieg.

Przejechaliśmy drogą pod Taborem, zaczęliśmy wspinać się wyżej, coraz wyżej. Nareszcie po jakiej godzinie jazdy spostrzegamy, że osiągnęliśmy szczyt wzniesienia i że oto rozchyla się przed nami wklęsła kotlinka czy dolinka, w której na zboczu pagórka leży miasteczko. To Nazaret, to cel naszej dzisiejszej podróży.

Rzucaliśmy wzrok na wsze strony, chcąc wszystko widzieć, nie chcąc niczego uronić. Patrzeliśmy na drogę i domki, patrzeliśmy na duży, europejski budynek, leżący po przeciwnej stronie na wzgórzu, patrzeliśmy na przechodniów, na ludzi — na trawę — na wszystko, co uważaliśmy za godne widzenia. Wdechaliśmy w siebie swąd, jaki wiał od spalonych promieniami słonecznemi traw — bo w Palestynie słońce w lecie wypali wszelką zieloność, jaką zostawi po sobie wiosna. Nareszcie zezgiełkiem i krzykiem naszych muślimickich arabskich woźniców stajemy przed dużym budynkiem i przed kościołem Zwiastowania. Tu mamy zostać na nocleg. Tu mamy przepędzić noc i następnie zwiedzić osobliwości miasteczka. Ale zanim po uciążliwej podróży weźmiemy posiłek na postoju, trzeba wejść do kościoła — trzeba powitać to miejsce święte — miejsce, na którem stał ongi domek Najśw. P. Maryi. Tutaj zjawił się Jej archanioł Gabryel, tutaj przyjęła Ona jego zwiastowanie i wyrzekła poddańcze słowa: „Oto ja służebnica Pańska, niechaj mi się stanie wedle słowa twego".

Zebraliśmy się przed świątynią i ze drżeniem weszliśmy do środka. Weszliśmy w wielkiem skupieniu ducha. Rozrzewnienie rozdzierało nam piersi. Patrzeliśmy na kolumny kościelne, na oł-

i szanował go, co więcej tradycya mówi, że także Józef złożył ślub dziewictwa. I tak żyli oboje, jako aniołowie Boży.

W r. 1914 wyjechało kilkaset ludzi do Ziemi Świętej. Jechali jako pątnicy, jechali z całej Polski. Przyjechali do Nazaret. I ja byłem z nimi. Widziałem wówczas miejsce, na którem niegdyś stał nazaretański domek — dziś na tem miejscu stoi świątynia. Wszedłem i ogarnęło mnie ogromne rozrzewnienie. Zdawało mi się, że jestem nie w katolickim kościele, ale gdzieś — w domku — w skromniutkim, niskim domku — i że w tym domku znajdują się jeszcze oni, oni wszyscy, jak ich tam dawniej było troje: Jezus, Marya i Józef. I zdawało mi się, że oni patrzą na mnie, że pytają się o to i o owo. Przy mnie niema nikogo, naokoło panuje cisza, ogromna, niezmącona cisza, zaś oni trzej zajmują się rozmową i rzemiosłem. Cudne marzenie trwało niedługo, rozwiało się pod tchnieniem rzeczywistości. Obróciłem się i zacząłem zwiedzać kościół. Szedłem do nawy bocznej poza filary — i tam usłyszałem szelest. Co to było? Był to szelest, pochodzący od idących tamtędy pątników. Mnie jednak zdawało się, że tam był z Jezusem i Maryą Józef, że to On rozmawiał z Nimi, że On tam był z Nimi przez chwilę i że właśnie teraz odszedł. Rozum upewniał mnie o czem innem — ale, ja szedłem za głosem serca, które mówiło, że tu — w tej chwili — Oni byli, że z Nimi był ich Opiekun, ostatni św. Patryarcha, Józef.

Nowy kościół.

Był przed kilkunastu laty w Krakowie w seminaryum duchownem kleryk, nazwiskiem Hodur. Otóż kleryk ten wystąpił ze seminaryum i udał się do Ameryki. Tam został księdzem, a potem zrobił się biskupem.

Nie jest to biskup katolicki, bo biskup katolicki musi być mianowany przez papieża biskupem, musi otrzymać z rąk biskupa katolickiego święcenie biskupie i musi być podległym papieżowi.

Ks. Hodur ani przez papieża nie został na biskupstwo powołany, ani od żadnego katolickiego biskupa nie otrzymał święcenia, ani też papieżowi podlegać nie chce.

Ks. Hodur zatem nie jest prawdziwym i do-

---

tarze i obrazy, ale nikt nie śmiał usunąć się z gromady i zacząć przegląd kościoła. Nikt nie poważył się na to, nikt nie śmiał tego uczynić. Jakaś nieprzeparta, wewnętrzna siła trzymała dusze nasze w swej władzy i pchała nas naprzód ku wielkiemu ołtarzowi. Szliśmy tam, jako owce, szliśmy, jako duchy, zebrane tu razem przez Boga i wiedzione przez niewidzialną rękę Boga. A kiedy byliśmy już przed samym ołtarzem w prezbiteryum, uklękliśmy wszyscy, jakby na rozkaz i naraz z setek piersi podniósł się rzewny, we łzy rozpływający się śpiew: „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha świętego. Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna, Pan z Tobą“... Klęczałem i drżałem ze wzruszenia. Czułem, że serce moje zanosi się od płaczu i czułem w piersi coś takiego, co czuje się chyba, gdy pierś ludzką przebije sztylet. „Oto ja służebnica Pana mego, niech mi się stanie wedle słowa Twego“ — brzmiał dalej śpiew. Dźwięki rozpływały się po kościele, uderzały o filary, płynęły ku oknom i tłukły się o szyby, poczem padały na sklepienie, jak uskrzydlone ptaki — sklepienie opierało się im i wstrzymywało je, lecz nadaremnie. Jakaż bowiem siła na ziemi, jaka siła nad ziemią zdoła powstrzymać glos modlitwy od dotarcia do wrót nieba? Śpiew rozlegał się coraz rzewniej, coraz serdeczniej: „Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami“. Ludzie pochylili twarze i ronili łzy. Nikt nie zwracał uwagi na drugich, każdy był jeno sobą zajęty — sobą i Bogiem, a raczej sobą i postacią Niepokalanej, Która na tem miejscu żyła, tu się modliła, tu pracowała, tu otrzymała największą łaskę do Boga: została Matką Jezusa Chrystusa. Nikt nie patrzył na ołtarz, wyobrażający scenę Zwiastowania, nikt nie patrzył na kościół, pochylili czoła, wśród śpiewu przymknęli oczy. Nic nie widzieli, nic nie chcieli widzieć, a przecież gdyś popatrzył na ich blade, wzruszeniem przejęte twarze, gdyś popatrzył na ich pełną ducha i pełną uniesienia postać, uczułeś, musiałeś uczuć, że oni — ci z przymkniętemi oczyma, ci polscy pątnicy, ci męczeni tygodniową podróżą, ci rozmodleni i rozśpiewani — że oni widzą wszystko, wszystko, co się tu stało ongi — że oto przed ich oczyma otworzyło się wnętrze skromnego domku Maryi, że oto przed nimi Marya klęcząc odmawia psalmy, że oto błysk nagły promieni rozjaśnia domek i Przenajświętszą i w promieniach staje przed Nią archanioł i zwiastuje Jej, że Bóg Ją „łaski pełną“ wybrał na Matkę Synowi Swojemu. A Ona zadziwiła się, ale oto pochyliła głowę i wypowiedziała swoje poddanie się Bogu.

brym pasterzem, ale jest wilkiem, który porywa i rozprasza owce.

Porywa owce, bo przyciąga do siebie katolików, tak księży, jak i ludzi innych i prowadzi ich na bezdroża błędu i odszczepieństwa.

Z księży i ludzi oderwanych od Kościoła katolickiego ustanowił ks. Hodur t. zw. kościół niezależny albo kościół narodowy polski.

Kościół ten — jak się samo przez się rozumie — nie jest Kościołem Chrystusowym ani prawdziwym.

Chrystus Pan powiedział nie do ks. Hodura, ale do św. Piotra: „Ty jesteś opoka. Na tej opoce zbuduję Kościół mój".

Gdyby ks. Hodur był następcą św. Piotra, tak, jak papież, toby mógł być głową Kościoła prawdziwego. Ale on następcą św. Piotra nie jest. Do tego on sam założył Kościół swój. A zatem kościół narodowy polski, to nie jest Kościół Chrystusa, tylko kościół ks. Hodura.

Ks. Hodurowi mało tego, że w Ameryce zgromadził koło siebie owczarnię z owieczek zbłąkanych. On wysłał swych misyonarzy świeckich i duchownych z wojskiem gen. Hallera tu do Polski i tu bałamuci ludzi i zawraca im głowy swoim kościołem narodowym. Ledwie cokolwiek ucichli mankietnicy, a już zjawiają się nowi prorocy t. zw. narodowcy. I tak ten naród nasz biedny będzie ciągle niepokojony i szarpany.

Chrystus powiedział do Apostołów: „Idąc na cały świat, nauczajcie wszystkie narody". Ks. Hodur nie posyła swych misyonarzy do wszystkich, ale tylko do Polaków. Zamiast nawracać pogan i nieochrzczonych, to on nawracać chce już dawno nawróconych; chrzcić chce ochrzczonych, bałamucić oświeconych.

Nie jest to myśl apostolska i boska, a prawdziwie szatańska. Chrystus Pan powiedział: „Ktoć nie jest ze mną, przeciw mnie jest; a kto nie zgromadza ze mną, rozprasza".

Niechże się ks. Hodur zapyta sam siebie, czy on zgromadza z Chrystusem. Pewna rzecz, że nie.

Ale cóż skłania ks. Hodura, że się na takie rzeczy odważa? Nie co innego, jak pycha. Chce być biskupem. Gdyby podlegał papieżowi, toby mu kazał papież mitrę biskupią z głowy zdjąć. A że sam papieża nie chce słuchać, to i innych nama-

---

„A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami. Zdrowaś Maryo, łaski pełna, Pan z Tobą"... Śpiewali wszyscy, co chwila ocierając załzawione oczy. Tyle razy w życiu śpiewali tę pieśń, a przecież nigdy nie śpiewali jej tak, jak w tej chwili. Śpiewali ją po swoich kościołach, nucili jej proste słowa po domach, gdy zgromadzali się na odmawianie różańca, zawodzili ją może w kółku swoich rodzin, modlili się jej westchnieniem — a przecież nigdy nie odczuwali jej tak żywo, jako w tej chwili. Każde słowo Pozdrowienia Anielskiego wydawało im się teraz takie proste, takie jasne, takie zrozumiałe — a nadewszystko takie śliczne, takie cudne! Każdy wyraz był tu niejako światem, pełnym życia, pełnym uczucia. Każdy wyraz był, jako różdżka czarodziejska, która wywołuje cudne, anielskie, Boskie obrazy. Ach, jak oni ten „Anioł Pański" teraz przeniknęli!! Ach, jak każdy z nich odczuwał wartość tego prostego, codziennego „Zdrowaś Maryo!" W tem było całe życie ich. Ich myśl, ich uczucie, ich wola cała zatopiła się w tej modlitwnej pieśni, wszystkie ich władze w niej były pogrążone, wszystkie ich zmysły nią były opanowane. Pieśń ta rządziła ich duszami, pieśń ta w ich duszach czyniła cuda, pieśń ta zacierała zmory w ich wnętrzu i z nich — z tych biednych, polskich wygnańców robiła świętych Bożych. Ach, bo oni wszyscy tą chwilą, tą jedną chwilą czuli się wniebowzięci — ach, oni naprawdę w tej chwili byli świętymi.

Skończyli śpiewać nareszcie i — zamilkli. Cisi, zasłuchani, rozmodleni, rozrzewnieni trwali dalej, klęcząc na posadzce. Chcieliby tu zostać na zawsze. Już nigdy miejsca tego nie chcieliby opuścić. Cisza ogarnęła ich dusze — słodki pokój obrał w nich sobie mieszkanie. Nie ruszali się, klęczeli, patrząc na ołtarz i ku grocie, gdzie miało być mieszkanie Matki Boskiej. Był właśnie zachód słońca. Przez otwarte drzwi świątyni wbiegł cały snop złocistych promieni, oblał ołtarz i ściany i ozłocił wszystkich klęczących. Całował ich włosy, całował ich twarze, słał się po ich ubraniu, rumieniąc je, srebrząc i złocąc. Gdy słońce zaszło, na niebiosach zajaśniała zorza, ogarnęła cały widnokrąg, zajęła połowicę światła i oblała płomieniem swym nawę świątyni. Wtenczas dopiero pątnicy zaczęli powstawać i cichutko odchodzili z kościoła do gospody, dla siebie przeznaczonej na nocleg. Wkrótce potem zapanowała jasna, srebrzysta, księżycowa, wschodnia noc.

Jeden z pątników.

wia, by papieża nie słuchali, tylko, by słuchali jego. No i znalazł takich, co z nim trzymają.

A jak ks. Hodur swoje postępki usprawiedliwia? Ks. Hodur mówi tak: Papież, to obcokrajowiec. Obcokrajowiec nie powinien się mieszać do polskich rzeczy. Polacy lepiej wiedzą, czego im potrzeba, aniżeli cudzoziemiec. Polacy powinni mieć za pasterza Polaka, a nie obcego biskupa-papieża. Ja, ks. Hodur, chcę założyć taki narodowy kościół, w którym papież niema nic do gadania, chodźcie za mną. I ludzie idą za nim. Myślą może, że ks. Hodur wiedzie ich do nieba, a on ich wiedzie do piekła.

Boć przecie wolą Boską jest to, by była jedna owczarnia i jeden pasterz.

Jednemu pasterzowi mają podlegać Polacy, Francuzi, Włosi, Niemcy itd.

Gdyby każdy naród chciał mieć za pasterza swojego rodaka, toby nie mogło być jednego Kościoła. Pan Jezus zaś założył tylko jeden Kościół święty. „Na tobie zbuduję Kościół mój“ — mówił Pan Jezus — a nie powiedział: „Kościoły moje“.

Ks. Hodur chce, aby Polacy mieli swój kościół polski, a Czesi, by mieli kościół czeski, a Niemcy niemiecki — tak, jakby wszyscy ludzie nie mieli nad sobą jednego Ojca na niebie.

Chrystus Pan jako człowiek też był cudzoziemcem. Przecież Polakiem nie był. A jednak ks. Hodur mówi, że mu podlega (choć się przeciw Niemu buntuje).

Rosyanie mieli swój kościół narodowy, mieli swoją cerkiew prawosławną. Papieżowi nie podlegali od tysiąca lat. I cóż się z nimi stało? Czy byli przez to mocniejsi? Czy byli przez to lepsi Co się z nimi stało — wszyscy wiedzą. Kiedy ich zawojowali żydzi, gdy im bolszewicy zaczęli nalewać sadła za skórę, wtedy biskupi rosyjscy zwrócili się dopiero do papieża i wołali: „Najwyższy ojcze chrześcijan, zlituj się nad nami, ratuj nas!“.

Luter też założył narodowy kościół protestancki, który ciągle prowadzi wojnę z papieżem. Czy ten narodowy kościół niemiecki uratował Niemców od zguby?

Teraz zaczyna śpiewać tę samą piosnkę, którą śpiewał Focyusz. Luter, Kalwin i tylu innych odszczepieńców i heretyków, ksiądz Hodur. I on wojuje z papieżem. Ale Bóg da, że tak, jak tamci wykruszyli sobie zęby, a papieża nie usunęli, tak też i księdzu Hodurowi się przydarzy. Kościoła bramy piekielne nie przemogą, ale szkoda tych dusz, które ks. Hodur i jego wysłańcy bałamucą i na drogę niewiary i potępienia sprowadzają.

Dlatego, drodzy Bracia, nie dajcie się bałamucić!

Mówicie: „Wierzę w święty Kościół powszechny“ (katolicki) — tego się trzymajcie; niech mówi, co kto chce, wy pozostańcie przy waszej świętej rzymsko-katolickiej wierze, przy świętym rzymsko-katolickim Kościele i waszym najwyższy pasterzu dusz: Ojcu św. czyli papieżu! Czy on będzie Włochem, czy Francuzem, czy Hiszpanem, to będzie zawsze dla nas widzialnym zastępcą Boga niewidzialnego. **R.**

Odnówmy Róże i Bractwa!

Nie ma może wyrazu, bardziej nieznanego na wsi, jak wyraz: organizacya. Cóż to za dziwoląg językowy? co on oznacza? Przełóżmy go na polskie i powiedzmy: zrzeszenie. „Organizacya“ znaczy to samo, co „zrzeszenie“. Wyraz „zrzeszenie“ już jest nam zrozumialszy, ale i tak dobrze go nie rozumiemy. „Zrzeszenie oznacza połączenie się kilku, kilkunastu lub więcej ludzi dla wspólnego celu. Tworzą oni razem związek, zrzeszają się, stowarzyszają się i tworzą wszyscy razem jakby jedno ciało. Wszyscy razem się trzymają, razem współdziałają z sobą, żeby dopiąć pewnego celu i razem też uczestniczą w korzyściach, ze związku płynących.

Teraz już lepiej będę zrozumiany. Otóż powiadam, że chłop nasz zwykle chodzi luzem i nie lubi spółek i związków z drugimi. Jest to skutkiem tego że lud nasz jest jeszcze w wielu wypadkach ciemny. Chłop ze wsi woli iść do karczmy na pijatykę, niż iść do czytelni i przeczytać coś uczciwego. Tam tylko idzie, gdzie ma „profit“, gdzie mu nakazuje jego chciwość, jego „gescheft“. Tam się ciśnie, gdzie ma zysk namacalny, materyalny. Wprawdzie i książka i czytelnia daje zysk, ale zysk ten jest umysłowy, nie widać go na oczy, a o to chłopu nie chodzi. Co mu tam oświata! co mu tam książka! Ojcowie i tak pisać i czytać nie umieli, a żyli. Tak się usprawiedliwia jeden z drugim — i cuchnie lenistwem i starzyzną. Nic też dziwnego, że gdzie tacy gospodarze się znajdują, tam ich pierwszy lepszy oszust wywiedzie w pole obłudną agitacyą — np. w czasie wyborów. Taki chłop gotówby Pana Jezusa i dziś jeszcze sprzedać za 30-ci srebrników.

Są często bardzo dobrzy ludzie wśród naszego ludu, ale są oni tak nieporadni i tak samolubni, że niczego z nimi nie przeprowadzisz. On pójdzie i do kościoła i do spowiedzi, ale więcej z niego nie wydobędziesz. Gadaj mu tam o jakichś związkach, o jakichś organizacyach. Stąd się to dzieje, że kilku złych i zepsutych ludzi, jeśli są razem zrzeszeni, potrafi obałamucić i zbuntować całą wieś. Nie trzeba tego chyba dowodzić wypadkami, bo zjawisko to często się spotyka. Czemu to źli ludzie jakoś prędzej się złączą i skupią, niż dobrzy? Czemu?

Są rozmaite związki, rozmaite zrzeszenia. Są zrzeszenia polityczne (np. piastowców, chrześcijańsko-społecznych), są zrzeszenia ekonomiczne (np. związek Kółek rolniczych), są zrzeszenia oświatowe (np. związek młodzieży, dziewcząt), zrzeszenia religijne (np. żywy różaniec, różne bractwa). O innych nie chcę tu wspominać, ale chciałbym zachęcić do tworzenia zrzeszeń religijnych.

Nie chodzi tu o jakąś nowość, tylko o to, aby we wsi każdej było jakieś ognisko wspólne, gdzieby się nasz lud mógł razem zbierać. Zbierałby się tam nie na politykę, ale aby przeczytać gazetkę katolicką, wypożyczyć książkę uczciwą i porozmawiać o sprawach ważnych, przedewszystkiem o tem, jakby naprawić to lub owo złe, jakie się we wsi pokazało. Sprawy takie mogą w śliczny sposób być załatwiane np. na zebraniach różańca żywego lub na zebraniach bractw. Dziś tyle się utyskuje i na róże i na bractwa, jakoby one nie miały w sobie ni siły, ni życia. Wina to po naszej stronie, że się nie staramy o urozmaicenie zebrań odpowiedniemi zagadnieniami. Otóż odnówmy ducha w naszych różach i w bractwach! Niech odżyją te nasze zrzeszenia o czysto religijno-moralnym charakterze! Ileżby one dobrego mogły zrobić! Jakaż korzyść płynęłaby dla nas z odrodzonych bractw i róż! Doprawdy, warto o tem pomyśleć. Poddajemy to naszym bractwom i różom pod rozwagę.

Sposób na to znajdzie każdy, kto się tą sprawą zajmie. Na takich zebraniach główną częścią byłoby odśpiewanie różańca tak, jak to się dotąd jeszcze czyni. Ale potem — zamiast bajek, obmów i poswarków, zrażających ludzi do samych zebrań, należałoby przeczytać co z gazetki lub książki. Naszem zdaniem każdy członek powinienby sobie sprowadzać jakieś pisemko katolickie, choćby „Polski Siew“. Potem szłaby narada np. nad tem, jakby naprawić zło, jakie się we wsi pokazało, jakby przeszkodzić wpływom złych ludzi itp. Zależałoby dotykanie takich spraw od roztropności przewodnika. Przewodnikiem powinien być zawsze człowiek uczciwy i mający poważanie w gminie. Takie róże i takie bractwa szerzyłyby po całej naszej ojczyźnie szczerą kulturę katolicką. Owoce z tego byłyby przebłogosławione.

Zakładajmy książnice.

W pewnej wiosce dostało kilku gospodarzy do rąk trylogię H. Sienkiewicza, to jest trzy dzieła, noszące napis: „Ogniem i mieczem“, „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“. Przedstawia w nich Sienkiewicz Polskę z XVII wieku, Polskę z tych czasów, kiedy ziemie jej niszczyli ogniem i mieczem nieprzyjaciele, kiedy ze wszystkich stron wdarli się do niej wrogowie i zalali ją potopem, a mimo wszystkiego ona nie upadła. Powieści te są pisane tak pięknie, tak zajmująco, że pojęcie o tem może mieć tylko ten, kto je czytał. Są tam miejsca wstrzymujące oddech, gdy się je czyta. Doznali tego na sobie wspomniani gospodarze. Ani przypuszczali, że książka może być tak zajmująca, tak śliczna. Czytali też trylogię prawie jednym tchem, parę nocy nie spali, aby tylko przeczytać. Jakże wkońcu byli wdzięczni książnicy, czyli bibliotece, która im to dzieło wypożyczyła!

A teraz wspomnienie z młodości. Lat temu już przeszło dwadzieścia. Do szkoły ludowej chodził chłopiec, który bardzo lubił czytać książki. Czytał różne ciekawe historye o Indyanach w Ameryce, rozczytywał się w opisach podróży i przygód — jednego razu dostał do rąk książkę słynnego włoskiego pisarza włoskiego E. de Amicis. Książka ta zrobiła na nim wstrząsające wrażenie. Marzył i snuł dalej te zdarzenia, o jakich z niej się dowiedział. Nawet śnił o nich w nocy. — Czy to nie było pięknem zajęciem chłopca? Zamiast wałęsać się wieczorami z zepsutymi kolegami, on chwytał książkę i czytał. Jaka to wielka zasługa tej wypożyczalni, że dała młodemu chłopcu zajęcie przyjemne i pożyteczne zarazem i że w ten sposób uchroniła go od wielu wykroczeń.

A teraz jeszcze inne zdarzenie. Spotkałem młodego parobczaka ze wsi. Miał około 20 lat życia. Wdałem się z nim przy sposobności w rozmowę. Na pierwszy rzut oka niezbyt dobre robił on wrażenie. Powolny, o powierzchowności pospolitej, mniej wpadał w oko, niż jego wiejscy koledzy. W rozmowie dopiero pokazało się, że zewnętrzne pozory często mylą. Bo otóż, gdy ten — niby niedołęga — zaczął wypowiadać zdanie po zdaniu, pytać mię i odpowiadać — zdumiałem się, skąd w nim tyle wiadomośdci, wiedzy i mądrości. Dowiedziałem się potem, że był to parobczak bardzo uczciwy, omijający wieczorne muzyki po karczmach, który natomiast pilnie czytywał książki. Książki natchnęły go wiedzą i mądrością. Kiedy go sobie przypomnę, myślę o tem, jak wielką zasługę mają książnice, jeżeli wydają takich ludzi.

Lecz po co rozwodzić się nad przykładami? Sądzę, że każdy z Czytelników zna podobne wypadki. Pokażcie mi człowieka, który lubi czytać książki, dobre, uczciwe książki — człowiek ten

będzie z pewnością górował nad wsią całą, nieraz nad całą okolicą. Zaiste, jakżeby dobrze było, gdyby ludzie więcej rozumieli wartość książki i wartość książnic, przechowujących i wypożyczających książki. Ileż z nich dobra płynie na całą okolicę! Książnica taka, to skarb, to złoto i srebro duchowe, które ozdabia nie ciało nasze, ale ducha. Mam zaś na myśli wypożyczalnię nie romansideł, nie książek niemoralnych — bo takie książki są rozsadnikiem rozpusty i zepsucia — chodzi mi o książki dobre, rzucające siew moralności i cnoty, siew miłości ku Ojczyźnie, ku przyrodzie, ku ludziom, ku wszelkiemu stworzeniu Boga. Takich dzieł mamy przecież w naszem piśmiennictwie tysiące. Wspomnę jednego Sienkiewicza, którego dzieła można przecież bezpiecznie czytać.

Czyby nie było dobrze, aby ludzie dobrej woli, którym oświata narodu leży na sercu, zakrzątnęli się około zakładania książnic, wypożyczalni książek i czytelń? Czy nie byłoby najbezpieczniej, aby te czytelnie i książnice znajdowały się pod władzą księdza proboszcza lub ks. wikarego? Byłyby to książnice parafialne, wypożyczalnie parafialne. Już w niektórych parafiach powstały one i pracują wydatnie. Zachęcamy gorąco, aby wszyscy jak najchętniej korzystali z nich i cenili je sobie. Jest to bowiem skarb, na całą okolicę błogosławione siejący ziarna. Tam zaś, gdzie takich książnic nie ma, niechaj uwiną się gorliwsi około tego, aby je założyć. Z doświadczenia wiadomo, że założenie książnicy nie jest rzeczą trudną. Trzeba tylko chcieć — środki same łatwo się znajdą.

Do Braci Ślązaków.

Kiedy się rozlatywała w kawałki stara Austrya i kiedy ani Kraków jeszcze nie postrącał ze swoich gmachów czarno-żółtych znaków, to Wy, Bracia na Śląsku pierwsi opowiedzieliście się na rynku cieszyńskim za matką-Polską. Kraków dopiero po Was zacierał ślady austryackiej przeszłości. Już wtedy na rynku cieszyńskim wołaliście głosem potężnym, że „Ostrawica, to nasza granica“! Zdawało się, że głos ten potężny i mocny usłyszą i zrozumieją ci, co w Paryżu kierowali losem narodów i nakreślali im granice. Zdawało się, że zrozumieją, iż Śląsk jak długi i szeroki, już odbył swój plebiscyt i drugiego plebiscytu już nie potrzeba.

No, ale stało się. Drugi plebiscyt zawisł nad Waszemi głowami i jak ta chmura czarna unosi się on nad Waszą piękną, śląską ziemią. I znowu każdy myślał, że skoro nie zrozumiano Waszego pierwszego wołania, to Wam teraz przynajmniej pozwolą powiedzieć swobodnie jeszcze raz, iż „Ostrawica, to nasza granica“!

Ale chytry Czech tak potrafił okłamać i otumanić dzisiejszych rządców świata, że Wam nawet tej swobody nie zostawiono. Musicie więc walczyć z czeskim żandarmem, z czeskiemi bojówkami, z czeskimi urzędnikami i czeskiemi kłamstwami o Polsce; piękną Waszą śląską ziemię pokrajano liniami demarkacyjnemi, podzielono na nowe kawałki i starostwa, które Was mają nauczać rozumu. Czech, choć sam w Pradze nie ma co jeść, posyła Wam białą mąkę i biały cukier i szperkę i inne smaczne rzeczy, żeby za to kupić Waszą polską duszę. Czech pieniędzy nie żałuje, żeby za Judaszowe grosze kupić sobie polskie głosy Wasze. Chcą Wami handlować, tak jak gdyby Ślązak był kawałkiem skóry, a nie słusznym człowiekiem, który wie, dokąd ma należeć i ze siebie kpa nie da zrobić.

Bo czy to czeska Wasza dusza śląska? Nie, ona przecie polska! Czy czeski jest Wasz pacierz, którym witacie Boga, kiedy ranne wstają zorze? Nie, bo jak Polska długa i szeroka, ten sam pacierz rozlega się na polskiej ziemi co i nad Olzą, nad Ostrawicą, pod Czantoryą i pod Babią Górą, w Jabłonkowie i w Boguminie, wszędzie. Albo czy to czeska krew płynie w Waszych żyłach? O nie, bo to jest krew piastowska, ta sama, która jest w żyłach Waszych braci za Białką i pod Krakowem i pod Częstochową i pod Poznaniem i Warszawą. Czy śląskie dziewczęta, smukłe jak łanie, do czeskich podobne są pyzatych Marzenek? Nie, po sto razy nie: to są tegosamego rodu Marysie i Kasie, które pod Krakowem Matce Boskiej ziele noszą i wianeczkami się stroją. A młodzieńcy Wasi, gibcy i wysmukli jak smreki, co w Beskidzie rosną, czy to są zjadacze knedli z powidłami? Także nie, bo te Wasze Jontki i Jury to przecież krew z krwi i kość z kości naszych Bartków i Wojtków: takie to wszystko bitne i robocze, wesołe i bujne, fantazyjne i cięte.

Nie czeska przecie dusza mieszka w sercu Waszego gazdy, który tak samo jak gospodarz z pod Krakowa, krzyżem świętym żegna drogę przed końmi, gdy wyjeżdża do roboty na rolę, co jest „najpierw boska, a potem moja“. Polskie, nie

czeskie serca mają Wasze gosposie i gazdzine na Śląsku, gdy się od ranka do wieczora krzątają koło gospodarstwa, dzieciom swoim prawią o tym Panu Jezusie i o Matce Boskiej i wychowują je tak, żeby z tego była Bogu chwała, a ludziom pociecha, a nie kataryniarze podwórzowi i harfiarki po karczmach. A już zgoła nie czeska moc i siła mieszka w polskim robotniku i górniku na Śląsku kochanym, który nie myśli o tem, żeby sobie dobrze a tłusto pojeść i dużo mieć pieniędzy, jak ten Czech, lecz myśli raczej o ciężkiej robocie, żeby świat miał z niego dużo korzyści. A jak się on bić umiał, ten robotnik Wasz śląski o prawa Polski! Z gołemi rękami rzucił się on na czeskie bagnety. Tak samo, jak ten polski żołnierz wszędzie budzi podziw swoją odwagą i męstwem i wytrwałością, tak też robotnik polski na Śląsku Górnym i Cieszyńskim świat wprawił w podziw swojem bohaterstwem. Nic dziwnego, bo we wszystkich ta sama polska, a nie czeska krew płynie. Tą krwią ich wykarmiła polska matka-ziemia, a nie czeska, na której rodzą się takie bohatery, jak ci, co musieli jeno uciekać na drugą stronę frontów, a niedawno Madziarzy pędzili ich przed sobą jak stado baranów.

I do takich miałby należeć Ślązak? Przenigdy!

O tak, Wy niezadługo przyjdziecie do nas, bo do nas należycie i na Wasze przywitanie zadzwoni stary Zygmunt z wawelskiej wieży, a na Wasz widok zajaśnieją pomniki królów i bohaterów w kaplicach wawelskiej katedry i Kościuszko rozradowany popatrzy na Was z nieba, a z Jasnej Góry uśmiechnie się do Was Najświętsza Panienka Częstochowska i pobłogosławi Wam, żeby dobrze było nam z Wami, a Wam z nami.

Jeno przetrwajcie, a potem przybywajcie! Boście Wy naszymi Braćmi rodzonymi!

PIĘĆ RZECZY.

Nie będzie nigdy plonu z rzeczy pięciu;
Więc je zachowaj w myśli i pojęciu:
Przyjaźni nie zna ten, w kim pycha gości;
Prostak nie świadczy nigdy uprzejmości;
Złoczyńca nigdy wielkim się nie stanie;
Zazdrosny nie wie, co to zmiłowanie;
Kto kłamie, próżno pragnie znaleźć wiarę.
Pamiętaj o tem, boć to prawdy stare.

J. W. Goethe. (Tłom. Jenikę).

Od Wydawnictwa.

Z dniem 1-go lutego b. r. wprowadził zarząd poczt i telegrafów na całym obszarze państwa polskiego przy wszelkich wpłatach i wypłatach walutę markową, a równocześnie podniósł opłaty pocztowe na obszarze Małopolski z korony na marki.

Równocześnie podskoczyły ceny papieru, farby drukarskiej, pracowników drukarskich. Wydawnictwo „Polskiego Siewu“ stanęło wobec trudnego zagadnienia: czy ma wychodzić dalej, czy zawiesić wydawnictwo, gdyż prenumerata nie pokrywa ani w połowie kosztów. Przyjaciele naszego pisma radzą usilnie, by niezawieszać pisma, ale przetrzymać ten czas krytyczny; tymczasem radzą podnieść prenumeratę i zaapelować do Czytelników, by poparli datkami to jedyne na ziemiach polskich katolickie religijno-oświatowe pismo, argumentując, że byłby wstyd i szkoda niepowetowana, gdyby pismo tego rodzaju utrzymać się nie mogło.

Idąc za tą radą, zwracamy się do naszych Czytelników i Przyjaciół „Siewu Polskiego“, by nadsyłali datki dobrowolne na fundusz prasowy. Gdyby każdy z Czytelników złożył datek n. p. w wysokości 3—4 marek, to dalsze istnienie gazety byłoby zapewnione. Żywimy nadzieję, że wszyscy Czytelnicy pospieszą nam z pomocą.

Zarazem przystępujemy do nowego uregulowania przedpłaty. Prenumerata „Siewu Polskiego“ będzie wynosić: rocznie 12 marek, półrocznie 6 marek. Egzemplarz pojedynczy 1 marka.

Upraszamy o popieranie pisma i jednanie dlań nowych abonentów.

O cnocie.

(Z dzieł Jana Kochanowskiego).

Cnotę i w nieprzyjacielu i w znajomych miłujemy. Ale to słowo: cnota, wiele w sobie zamyka. Naprzód mądrość, która czego szukać, a czego się chronić, uczy. Potym sprawiedliwość, która każdemu, co jego jest, dać każe. Trzecia — wielkość umysłu, na wzgardzeniu rzeczy doczesnych zależy. Czwarta, skromność tak w mowie, jako i w uczynkach. A z tych czterech cnót, jako czterech studzien, wiele inszych cnót pochodzi, które obyczaje ludzkie naprawiają.

Dwie rzeczy człowieka szlachcą: obyczaje a rozum. Obyczaje z cnót pochodzą, a rozum z nauk: obiedwie rzeczy w sobie mieć, rzecz nieprzepłacona jest człowiekowi. Ale jeśli przy jednej tylko masz zostać, raczej przy cnocie, niż przy nauce zostań: bo nauka bez cnoty, jako miecz u szalonego, i sobie i ludziom szkodzi. Cnota, choć dobrze sama będzie, chwalebna jest i pożyteczna.

Chodzący dzwon.

(Ballada).

Było dziecię, co nie chciało
chodzić w święto do kościoła;
w polu bawić się wołało,
choć dzwon z wieży głośno woła.

Mówi matka: „To nie żarty!
Ej, uważaj ty na siebie!
Gdy wciąż będziesz tak uparty,
przyjdzie dzwon i weźmie ciebie“.

Dziecię myśli: „Lecz dzwon przecie
to nie człowiek i nie chodzi —
Czy to słyszał kto na świecie?
To mnie mama tylko zwodzi“.

Dzwon ten, dzwon ten już nie dzwoni —
Ale — czy mnie mylą oczy?
Ach okropność! niech Bóg broni!
Dzwon ku niemu prosto kroczy.

Kroczy w coraz szybszym pędzie —
Dziecię z strachu ledwo żyje —
„Ach nieszczęście! co to będzie?
Ach, mnie pewnie dzwon przykryje!“

Co tu począć w chwili takiej?
Resztę sił na pomoc woła
i przez rowy, pola, krzaki
biegnie prosto do kościoła.

Odtąd, tej pamiętne biedy,
pilnie słucha głosu dzwona
i nie czeka, aż go kiedy
znów zaprosi in persona *).

J. W. Goethe.

(Tłum. Hugo Zathey).

---

*) In persona znaczy w swej własnej osobie.

O Sakramencie Pokuty.

Wszak jesteśmy grzesznikami? Wszak niema ani jednego z pośród nas, któryby mógł powiedzieć, że niema na sobie grzechu? Powiedział to o sobie i mógł o sobie wyrzec jeden tylko człowiek, lecz ten człowiek był zarazem Bogiem. Na imię mu było Jezus. I jeszcze Jego Matka nie miała grzechu na sobie. Zresztą wszyscy jesteśmy zmazani, a zmaz tych pono ciągle przybywa. Spowiadamy się z nich, otrząsamy się z nich — i znowu w nie wpadamy. O dolo, dolo nasza...

Czy kto zaprzeczy, że tak nie jest? Chyba się nikt nie poważy. Patrzymy przecież na ludzi i widzimy, że tak jest rzeczywiście. Widzimy to także ze siebie samych. Jeżeli zaś tak jest, czy mamy stracić ufność, pogrążyć się w goryczy i powiedzieć sobie: na co nam sakramentów, na co nam spowiedzi, na co nam modlitwy, kiedy i tak po tem upadniemy? Czy wolno nam stracić w ten sposób nadzieję? Nie, nie wolno. Gdybyśmy stracili nadzieję, gdybyśmy załamali ręce w nieufności rozpaczy, wyrządzilibyśmy sobie niepowetowaną krzywdę i zamknęlibyśmy sobie wrota do nieba.

To darmo... Grzeszni jesteśmy, słabi jesteśmy, lichą i słabą mamy wolę, pokusy nieraz dokuczają nam okropnie, palą nas ogniem namiętności i my — my upadamy. Ale przecież gdybyśmy nie mieli potem środka do dźwignięcia się, gdybyśmy już potem musieli iść w jarzmie grzechu bez wytchnienia — ach, jakże straszną byłaby dola nasza! Gdybyśmy stracili ufność i z tych środków, jakie nam Bóg dał tj. ze spowiedzi i Komunii św. nie chcieli korzystać, gdybyśmy się obłąkali grzechem bez upamiętania — ach! jakże jeszcze straszniejszą byłaby dola nasza! Bo niech mówi kto, co chce, niech robi zarzuty najróżniejsze spowiedzi świętej, pozostanie mimo wszystko prawdą, że ona bądź co bądź maże grzechy nasze i oczyszcza nas. To zaś jest już rzeczą wielką. A potem jeszcze niech się kto, jak chce, rzuca na Sakrament pokuty, że on nie zmienia grzesznika w anioła, to jednak zostanie prawdą, że przecież przynajmniej na pewien czas tego grzesznika podniesie. To zaś jest także wielką rzeczą. I to jeszcze pozostanie prawdą, że choćby człowiek upadł i Pana Boga raz, drugi i trzeci obraził, to jednak, jeżeli ten grzesznik zaraz żałuje za to i spieszy do konfesyonału, by się podźwignąć, to niemożliwe, aby powoli on nie nabrał siły do walki z pokusą i aby nareszcie stale się nie podźwignął. Wierzajcie, Czytelnicy, że przy konfesyonale dzieją się często cuda w duszach ludzkich — cuda łaski Bożej.

Więc nie mówmy, że nam spowiedzi nie trzeba, że i tak znowu upadniemy. Chciejmy się tyl-

ko poprawić, chciejmy i szczerze ufajmy, że przecież cokolwiek przez spowiedź się dźwigniemy — i idźmy do niej, idźmy do św. Sakramentu pokuty.

„Lecz poco mam się spowiadać przecież nikogo ani nie okradłem, ani nie podpaliłem, ani nie zabiłem“... Tak odpowie niejeden. I są doprawdy ludzie, którzy w ten sposób usprawiedliwiają swą niechęć do spowiedzi. Co takim ludziom odpowiedzieć? Przedewszystkiem kto, gdzie i kiedy uczył, że spowiedź jest tylko dla złodziei, dla podpalaczy i bandytów? Kto tak uczył? Gdzie i kiedy tak uczono w Kościele katolickim? Wszak uczy Kościół, że spowiedź ustanowił Jezus Chrystus na odpuszczanie grzechów. Nigdy i nigdzie nie słyszeliśmy o tem, jakoby spowiedź przeznaczona była dla najpotworniejszych i najohydniejszych grzechów. Spowiedź jest dla wszystkich grzechów — dla wielkich, takich, co o pomstę do nieba wołają, lecz i dla małych, dla maleńkich, takich, które tylko delikatne i święte sumienie zaważyć potrafi. Dla wszystkich grzechów jest spowiedź. Jeżeli zaś ty powiadasz, że ci spowiedzi nie trzeba, boś nie okradł i nie zamordował, a zresztą grzechów nie masz, to powiadam ci słowami apostoła, że kłamcą jesteś i zwodzisz sam siebie. A nie tylko kłamcą jesteś —ty jesteś leń, obrzydliwy leń, a to, co ty mówisz, czy ty wiesz, kto to mówi przez ciebie? obrzydliwe, śmierdzące lenistwo mówi przez ciebie. Więc precz z tem lenistwem, precz z tą chorobą duszy — i idź, bracie, idź, siostro do spowiedzi.

Patrz, nadszedł czas wielkopostny. Czas to, w którym każdy z nas pod grzechem ciężkim jest obowiązany wyspowiadać się i przyjąć Komunię św. Czas to święty i łaski Bożej pełny, w którym „płakać za grzechy człowiekowi potrzeba“. Mamy się z Panem Bogiem przeprosić, mamy się z Nim pojednać, Kościół św. ustanawiając prawo, nakazujące przymusową spowiedź i Komunię św. wielkanocną, chciał nas pobudzić do poprawy, chciał nas popchnąć na drogę pokuty. Więc nie ociągajmy się i spieszmy do konfesyonału. Będzie nam to może ciężko — zwłaszcza, jeśli mamy na sumieniu grzechy poniżające i zawstydzające nas — będzie nam to trudno, ale przewalczmy się i spełnijmy swój obowiązek. To nic, że nam nieraz tak ciężko zbliżyć się do konfesyonału. Jesteśmy przecie ludźmi, każdy z nas ma godność swoją — i oto musisz człowieku uklęknąć przed kim? przed człowiekiem. Wprawdzie człowiek ten jest kapłanem i ma władzę od Boga i zastępuje w chwili spowiedzi samego Boga, ale bądź co bądź jest i nie przestaje być człowiekiem. Więc to tak ciężko uniżyć się, więc to tak wstyd wyznać swoją nędzę.

A jednak — uniż się i wyznaj wstyd swój i ułomność swoją. Przełam się i powiedz wszystko, wszystko od *a* do *z*. Nic nie kryj, niczego nie zataj. Niech cię Bóg broni od kłamstwa na spowiedzi! Niech cię Bóg zachowa od świętokradzkiej spowiedzi! Lepiej, żebyś się nie spowiadał, niż żebyś się miał spowiadać świętokradzko. Nie myśl sobie, że jak „wycyganisz“ od księdza rozgrzeszenie, że cię i Bóg rozgrzeszy. Rozgrzeszenie księdza jest ważne tylko wtedy, jeśli twoja spowiedź jst niekłamliwa. Jeśliś grzech zataił, na nic wszystkie twe zachody. Jeśliś skłamał na spowiedzi, jesteś daleko większym grzesznikiem, niż przed spowiedzią. Nie myśl sobie, że Boga zdołasz oszukać. Księdza możesz oszukać, ale nigdy Boga. I twoje sumienie odczuwa to, bo po złej spowiedzi gryzie cię, żre cię, jak robak spróchniałe drzewo i nie daje ci spokoju, dopóki nie naprawisz tego, czegoś się dopuścił. Znajdują się i dzisiaj ludzie — tak po miastach, jak po wsiach, którzy nie pojmują należycie świętości i powagi spowiedzi. Ze wsi zbliża się niejeden do kratek i powie część grzechów, inne zaś przemilczy ze wstydu lub bojaźni i myśli, że jak mu ksiądz da błogosławieństwo i jak uczyni nad nim znak krzyża, że to już wystarczy. Człowiek taki myśli, że wyłudził rozgrzeszenie. Jakże się myli nieszczęśliwiec! W miastach zaś spotkać można osoby, które przychodzą do spowiedzi, jak na pogawędkę, powiedzą coś owoś i myślą, że to już dosyć. O grzechach ciężkich, niewstydliwych ani słówkiem nie pisną — myślą, że to byłoby nieodpowiednie przed księdzem powiedzieć — zapominają o tem, że konfesyonał to nie jest świeckie towarzystwo i pusta rozmówka, ale to jest sąd, sąd o grzechach i wyrok nad sumieniem. Ach, jakże nieraz ludzie błądzą, gdy odprawiają spowiedź świętą! Ach, ileż popełniają błędów! Błędy te są nieraz nieświadome — wtenczas nie są one zawinione — ale przecież tyle błędów popełniają świadomie i zupełnie dobrowolnie... Kiedy człowiek zastanawia się nad tymi błędami, widzi, jak na dłoni, ile jest w naszem społeczeństwie ignorancyi religijnej. Tyle nieuctwa, tyle ciemnoty w rzeczach wiary, że aż okropność! I po wsiach ta ciemnota — i po miastach, a po miastach może jeszcze większa, jak po wsiach. Najciemniejsi zaś pod względem uświadomienia katolickiego są ci panowie we frakach, półcylindrach i rękawiczkach, panowie nieraz uczeni i skądinąd dobrzy. Tem boleśniejsza jest to rzecz, że właśnie ci, co nie wiedzą, co o religii i prawdach wiary nie mają pojęcia, mówią o tem ciągle, prowadzą dysputy, krytykują i szydzą. Jest to rzecz opłakania godna.

Lecz przestańmy biadać i kończmy rzecz o spowiedzi. Spowiadać się trzeba szczerze, niekłamliwie, powiedzieć wszystko otwarcie, nic nie taić. Potem następuje żal za grzechy. Jest to najważniejsza rzecz przy Sakramencie pokuty. Choćbyś się ty nie wiem, jak dobrze spowiadał, choć-

byś swoje grzechy na palcach policzył, jeśli nie żałujesz za grzechy, spowiedź twa nic nie warta. Żałować za grzechy, to nie znaczy płakać, beczeć i łzy wylewać. Niech się nikt nie stara o te łzy i o płacz. Kto koniecznie chce beczeć i łzy ronić przy spowiedzi, niech wie, że z takich łez ma jeno dyabeł uciechę. Bowiem w takich łzach jest najczęściej utajona miłość własna i pycha. Żałować trzeba nie łzami ócz, ale duszą, uczuciem wewnętrznem. Trzeba mieć przeświadczenie, że Boga obrażonego przepraszamy i że go obrażać nie chcemy, trzeba to Bogu powiedzieć w duchu, że Go naprawdę przepraszamy, trzeba poprosić go o darowanie win — i już dosyć, już żal odprawiliśmy. żal prawdziwie dobry. Zwracamy uwagę Czytelnikom, aby sobie taki żal robili jeszcze przed spowiedzią, bo w chwili spowiedzi może być nieraz zapóźno. W każdym razie musi żal być zrobiony jeszcze przed rozgrzeszeniem kapłańskiem.

Jeszcze jedna rzecz. Czemu my się po spowiedzi nie poprawiamy? Bo nie mamy mocnego postanowienia poprawy. Trzeba sobie silnie postanowić, że tego a tego nie będziemy robić, tego a tego koniecznie będziemy unikać. Kiedy zaś odejdziemy od konfesyonału, nie trzeba zapominać o spowiedzi, ale żyć długo z myślą o niej, przypominać sobie nasze postanowienia i unikać sposobności do złego. Taką niech będzie nasza spowiedź, a nigdy nie powiemy, że spowiedź nam niepotrzebna. Taka spowiedź uczyni nas aniołami.

Czterdzieści dni.

Czterdzieści dni trwa czas wielkopostny. Czterdzieści dni ma ten okres, przeznaczony na pokutę i na rozpamiętywanie Męki Pańskiej. Czterdzieści dni i tyleż nocy padał deszcz na ziemię, kiedy miał nastać potop. Tyleż dni padać będzie teraz w okresie wielkopostnym deszcz łaski Bożej na nasze dusze — Bóg zaleje niejako ziemię w tym czasie morzem swej łaski i swego miłosierdzia. Jak Noe wstąpił do Arki i unosił się w niej ponad falami, tak my winniśmy wstąpić do arki naszych kościołów, przystąpić do arki konfesyonałów, a łaska Boża uniesie nas, że będziemy podniesieni, bliżej nieba i bliżej Boga.

Czterdzieści dni trwał Mojżesz na modlitwie, gdy wyszedł na górę Synai, gdzie miał otrzymać tablice 10 przykazań Bożych. Pościł tam i rozmawiał z Bogiem przez czterdzieści dni. W okresie wielkiego postu każdy z nas powinien wyjść niejako na górę Synai i tam pościć i rozmawiać z Bogiem. Cóż jest tą górą Synai? Jest nią życie prawdziwie chrześcijańskie. W okresie postu 40-dniowego winniśmy pościć. pokutować i rozmawiać z Bogiem więcej, niż kiedyindziej. Naśladujmy pod tym względem Mojżesza. Lecz Synajem są pod pewnym względem także nasze kościoły. Na Synaju zjawił się przed prawodawcą izraelskim sam Bóg i dał mu Stare Prawo. W naszych kościołach żyje i czeka na nasze przybycie sam Bóg, Jezus Chrystus — i uczy nas, przemawia do nas z tajemnicy Najśw. Sakramentu. Synaj, to góra wielka i osamotniona i pusta. Kościół każdy — to także jakby góra wielka, osamotniona i pusta, pusta od zgiełku i wrzasku światowego. Cichość w nim panuje i zadumanie. O, pójdźmyż teraz w okresie 40-dniowego postu na ten nasz Synaj i słuchajmy tego Prawa, jakie nam Jezus głosi. Jak dał Mojżeszowi 2 tablice, tak i nam wypisze na sercu tablice swoich przykazań. Lecz pierwej musimy pościć i iść koniecznie do spowiedzi. Musimy koniecznie odprawić spowiedź — dobrą spowiedź.

Jezus Chrystus, kiedy miał rozpocząć swój żywot nauczycielski, udał się po swoim chrzcie na pustynię i tam pościł czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Pościł i modlił się w samotności. Dał nam przykład, że i my winniśmy pościć. Choćby nie było żadnego innego powodu, aby pościć, to dla dobrego chrześcijanina wystarczy ten powód, iż Jezus pościł. I ten drugi jeszcze powód, że sam Jezus powiedział raz do ludu, że apostołowie jego, choć za Jego życia nie poszczą, to jednak po jego śmierci będą pościć. To zaś trzeba odnieść nie tylko do apostołów, ale do wszystkich wyznawców nauki Chrystusa. Chrystus, nasz oblubieniec, wzięty jest od nas, niemasz Go między nami widzialnie, dlatego powinniśmy swoją tęsknotę za Nim objawiać przez post. Chrystus Pan przygotował się do wielkiej rzeczy, bo do swej działalności apostolskiej, przez post czterdziestodniowy. I my przygotujmy się przez obecny post do wielkiej rzeczy, to jest do odpuszczenia grzechów w Sakramencie pokuty. Post jest do tego środkiem najodpowiedniejszym. Przez post duch nabiera siły nad naszem ciałem. Post jest pokutą za grzechy. Post sprawia, że modlitwa nasza staje się lepsza, więcej skupiona. Więc naśladujmy Jezusa Chrystusa i pośćmy czterdzieści dni — a poszcząc, wyspowiadajmy się dobrze i pojednajmy z Bogiem.

Post obecny nie może być taki, jak w inne czasy przed wojną. Dziś niema środków do życia, czasem człowiek musi jeść to, co mu dają; czasem nie może sobie pozwolić na inne potrawy, niżby pragnął. To wszystko prawda — i Kościół też daje szeroką dyspenzę. Ale mimo wszystko, kto może, to winien pościć — wszyscy zaś winni zachować ducha postu i pokuty.

Gdy siłą czynisz, mów o tem mało; twoje sprawy niech kto inszy widzi. Fredro.

Oszczędność.

Chcemy mówić o tem, jak należy dzieci przyzwyczajać do oszczędności. Ale naprzód powiemy, co to jest oszczędność, albowiem wielu ludzi nie rozumie tego, na czem oszczędność polega.

Powiedz robotnikowi, że ma być oszczędnym, to ci odpowie: „Panowie mogą oszczędzać, bo mają pieniądze, ale ja z czego będę oszczędzał?".

Tymczasem oszczędność niekoniecznie polega na tem, aby pieniądze składać do skarbonki albo do kasy. Każdy człowiek powinien być oszczędny, nawet taki, który mało posiada. Co więcej, nawet ten, co mało posiada, bardziej ma oszczędzać, niż ten, który posiada wiele.

Kto nie żyje oszczędnie, ten się nigdy niczego nie dorobi, a nawet to, co posiada, straci. A przytem grzeszy.

Na czemże zatem polega oszczędność?

Zamiast dawać odpowiedź na to pytanie, podam wam, czytelnicy, przykład. Znam tu jednego gospodarza prawdziwie oszczędnego. Otóż opiszę wam, jak on postępuje. Nazywa się Józef Korny.

Józef Korny ma dom utrzymany w porządku. Gdy się zrobi dziura w dachu, przez którą zaczyna kapać, patrzy zaraz, co tam zepsute i naprawi. Mówi tak: Małą dziurę łatwo zatkać, ale z wielką byłoby gorzej i wydatek pewny. Nachylony płot podpiera zaraz. Grabie, cebrzyk, łopatę, stołek naprawia sam, gdy już stare nie są więcej do naprawienia. U niego niema zwyczaju, aby stare ubranie wyrzucić za dom, wynieść na strych, albo gdzie do kąta wypchnąć. Stare ubranie musi być naprawiane raz, drugi i trzeci. Gdy już się naprawić nie da, to każe poprać; co jeszcze jest dobre, każe zwinąć, aby były z tego łaty, a co jest już całkiem podarte, to służy do wycierania butów, podłogi, do zamszenia szpary, a wreszcie rzuca się do nawozu.

On ma u siebie zawsze różne kawałki drzewa, żelaza, skury, bo — jak powiada — człowiek się ani nie spodzieje, kiedy się przyda w domu.

U niego jest też oszczędność w kuchni i stajni. Gotuje się tyle, ile potrzeba, aby w domu nikt nie był głodny. Tak samo gawiedzi i bydłu daje tyle, ile zjeść może. Józef Korny nie pozwala, aby kurom nasypać tyle, aby pół zjadły, a pół podeptały. On wie, że naraz krowy nie napasie na cały dzień. Pilnuje natomiast, aby bydło i drób otrzymywały w swoim czasie regularnie to, co się mu należy.

Gdy wraca z pola, a spotka na drodze kij, patyk, szyszkę, bierze to ze sobą, gdyż inaczej zmarniałoby to, a może służyć za opał.

Wódki, piwa, wina u niego w domu nie piją. Co innego, gdy jest wesele albo chrzciny. Ale i wtedy czuwa nad tem, aby każdego uczęstować tak, by był zadowolony, a trunków nie lać na wszystkie boki, jak się to nieraz dzieje, bez nadzoru, bo wtenczas jedni się upijają, a drudzy na gospodarza wygadują, że ich nie ugościł.

Gdy gdzie jedzie, a czuje potrzebę, do gospody wstąpi, aby co wypić, ale tam nigdy nie przesiaduje, ani w kompanie się nie wdaje. Jego też dzieci nigdy do karczmy nie chodzą.

Tak postępuje Józef Korny. I choć niema ani wielkiego gospodarstwa, a dzieci 12, to przecież roboty w domu mają dosyć wszyscy, wszyscy mają co jeść, zadowoleni i zgodni. Ludzie uważają go za bogatego, a stał się takim nie przez skąpstwo, bo on na potrzebne rzeczy centa nigdy nie żałuje, ubogiego też wesprze, ale się stał zamożnym przez rozumną oszczędność.

Rodzice, uczcie dzieci wasze takiej oszczędności. Więcej im przez to przysporzycie majątku, aniżeli wtedy, gdy je poszlecie na Saksy albo do fabryki. Pamiętajcie, że oszczędnością i pracą ludzie się bogacą.

JAN KOCHANOWSKI.

Z PIEŚNI XXIV. (Księgi I.).

A ktoby chciał na świecie
uważyć, co się plecie,
dziwnie to prawdy blizko:
Że człek Boże igrzysko.
Dygnitarstwa, urzędy,
wszystko to jawne błędy;
Bo nas równo śmierć sadza,
ani pomoże władza.
A nad człeka chciwego
niemasz nic nędzniejszego:
Bo na drugiego zbiera,
a sam głodem umiera.

Wielki Tydzień w wierzeniach i zwyczajach ludu naszego.

Wzniosłe i wielce budujące są obrzędy Kościoła katolickiego zwłaszcza w Wielkim Tygodniu.

Czyjaż dusza nie wzruszy się i nie przejmie miłością, pokorą i wdzięcznością ku Chrystusowi Panu! Były czasy, że królowie i panowie przez cały Wielki Tydzień żywy brali udział w wielkotygodniowych nabożeństwach, a w Wielki Piątek „równie z ludem czołgali się u stóp krzyża nieba i ziemi Monarchy“. Stefan Batory, Jan III, Stanisław Leszczyński, królowa Anna Jagiellonka cały Wielki Post „suszyli, nic nie jedząc ani pijąc, aż po zachodzie słońca“. W Wielki Piątek wielu monarchów polskich poddanym i winowajcom przy grobie Pańskim winy darowali i do łaski monarszej na nowo przypuszczali, o wszystkich krzywdach zapominając. Gdybyśmy dzisiaj ten pobożny zwyczaj ojców naszych naśladować chcieli, ileżby krzywd wynagrodzonych zostało, ile powróconych przyjaźni, ileby szczęścia powróciło między ludzi!

Z przepięknemi i rzewnemi obrzędami kościelnemi Wielkiego Tygodnia lud nasz łączyły najrozmaitsze zwyczaje, wierzenia i klechdy z dawnych jeszcze pochodzące czasów, które tem większego pod chłopskiemi strzechami nabierały uroku i tem wyrazistszy zostawiły obraz tych niezwykle podniosłych dni. Wprawdzie wiele z tych starodawnych wierzeń już zaginęło, niektóre przechowały się tylko przez ustną tradycyę starszego pokolenia.

Za czasów Augusta III przez cały wielki post odbywały się procesye tak zwanych „kapników“, to jest ludzi, okrytych pokutniczemi worami z grubego szarego płótna. Na czele kroczył „kapnik“ z krzyżem w ręku, dwaj inni kapnicy z laskami czarnomalowanemi kończyli pochód. Prawie wszyscy zaś nieśli dyscypliny rzemienne. lub nawet druciane. Wszedłszy następnie parami do kościoła, „kapnicy“ padali krzyżem na ziemię, a pomodliwszy się, na znak, dany laską przez „kapników“ idących na końcu, zaczynali biczować się często aż do krwi. W Wielki Piątek procesya taka odbywała się jeszcze uroczyściej. Jeden z „kapników“, ubrany w komżę i kapę, z koroną cierniową na głowie, kroczył na czele pochodu, dźwigając na ramionach krzyż ciężki. Miał on wyobrażać Zbawiciela idącego na górę Kalwaryę. Szedł wolno, niby upadając pod ciężarem krzyża i przyklękiwał raz poraz na jedno kolano, wówczas drugi „kapnik“, niosący koniec krzyża, bił go łańcuchem, wołając: „Postępuj Jezu!“ W ten sposób obchodzono stacye Męki Pańskiej po kościołach lub na cmentarzach, biczując się przy każdej stacyi, a procesye te były bardzo rozpowszechnione. Mikołaj Rej, poeta polski z XVI wieku, opowiada o innym pochodzie procesyonalnym: „W niedzielę kwietnią czyli palmową obchodzono pamiątkę wjazdu Pana Jezusa do Jerozolimy, któremu dzieci zachodziły drogę, rzucając kwiaty i radośnie śpiewając. Na tę pamiątkę w kościele parafialnym, gdzie były szkoły, wybierano chłopców do procesyi, pięknie ubranych z bukietami u boku i z palmami w ręku“. W Poznaniu znowu, w szkołach jezuickich, przez cały Wielki Tydzień uczniowie odtwarzali na osobno urządzonej scenie różne wydarzenia z życia Chrystusa i Męki Pańskiej, a to przy udziale licznej rzeszy widzów.

Pięknym był też zwyczaj wielkoczwartkowy obmywania nóg dwunastu ubogim starcom. Spełniali go biskupi i królowie polscy, a pierwszym, który tego obrzędu dopełnił, był Zygmunt III Waza.

Począwszy od Wielkiego Czwartku z każdym z następujących dni łączą się najrozmaitsze zwyczaje i obrzędu u naszego ludu. Gdy w Wielki Czwartek rano rozlegnie się głos dzwonów kościelnych na „Gloria“, pastuchy i wyrostki biegną do sadów i potrząsają drzewami, aby w tym roku obrodziły obficie. Do coraz rzadszych zwyczajów domowych należy tak zwana „Wieczerza Pańska“; składała się ona z tych samych potraw, co wigilia Bożego Narodzenia. Gdy błysnęły pierwsze zorze wieczorne, gromadził pan swą czeladkę do stołu, przy którym już czekała cała rodzina. Odczytał Ewangelię świętą i przypomniał wszystkim dzień ostatniej Wieczerzy Pańskiej, poczem wszyscy społem zasiadali do stołu i zakosztowawszy kolejno wina, pożywali w milczeniu dary Boże. W niektórych stronach utrzymuje się też wiara, że ktoby spożywszy wieczerzę w Wielki Czwartek, wstrzymał się zupełnie od jedzenia przez dwa następne dni, a potem co roku zachował ścisły post, ten będzie o swej śmierci wiedział trzy dni naprzód.

W Wielki Piątek jest zwyczaj, że rychłym rankiem okadza się bydło święconem zielem, aby w ciągu roku nie chorowało. W tym dniu gospodynie ze śmietanki, zbieranej przez kilka dni poprzednich, robią masło do święcenia, którego nie solą, lecz przechowują jako lekarstwo dla domowników i bydła. Gospodarze zaś przed śniadaniem robią z gałązek wierzbowych krzyżyki, zanoszą je w pole i zatykają po krzyżyku na każdym kawałku swego pola, obsianego zbożem, przyczem odmawiają pięć pacierzy do pięciu ran Pana Jezusa. Jeżeli taki krzyżyk się przyjmie i wypuści listki, to znaczy, że ten, co go zatknął, będzie długo żył, albo też ma być dowodem, że człowiek ten posiada łaskę Bożą. Wielki Piątek jest u ludu bardzo czczony; spędza się go w cichym i poważnym nastroju. Wstrzymują się również od niektórych robót, bo „Pan Jezus leży w grobie“. W dniu tym nie przędą, aby „Panu Jezusowi nie kręcić powrozów i nie napaździerzyć do ran“.

Do stanu pogody w Wielki Piątek przywiązane są następujące przysłowia: „Jeżeli w Wielki Piątek mróz, będzie siana wóz; „jeśli rosa, będzie siana do nosa; jeżeli w Wielki Piątek śnieg, deszcz albo rosa, nasiej chłopie dużo prosa“.

„Gdy zaś Wielki Piątek i Wielka Niedziela są pogodne, to będzie rok suchy". „Od Wielkiego Tygodnia można siać już co dnia; trochę bobu, trochę grochu, słowem wszystkiego po trochu". „A w Wielki Piątek — najlepszy siewu początek".

Do obrzędów kościelnych w Wielką Sobotę należy święcene ognia, na pamiątkę, że w pierwszych wiekach po Chrystusie codziennie krzesano ogień, poświęcano go, zapalano nim świece i lampy. Do święcenia ognia przygotowują suchej tarniny na cmentarzu przed kościołem. Po poświęceniu ognia, pasterze i parobcy opalają przy nim ucięte dolne końce z palmy. Następnie w domu robią z nich krzyżyki, a w poniedziałek wielkanocny gospodarz rychło rano zatyka je do ozimin, jako środek przeciw zniszczeniu od gradobicia. Gospodynie rozżarzają od ognia święconego hubki bukowe, niosą je spiesznie do chat, rozniecają od nich ogień w piecu piekarskim i pieką przy nim chleb i kołacze na święta.

Co do „Święconego" w niektórych wsiach piękny zachowuje się zwyczaj, gdy niosący Święcone powrócą z niem z kościoła do domu. Nim je wniosą do izby, gospodarz bierze chleb i obchodzi z nim chatę naokoło, aby wszędzie chleba było poddostatkiem, lub też dziewczęta wracając ze Święconem, obnoszą trzy razy chleb naokoło stodoły, aby przez rok cały była pełna zboża. Gdzieniegdzie gospodyni, gdy służąca lub córka wraca ze Święconem z kościoła, bierze kropidło, umaczane w wodzie święconej, wychodzi naprzeciw niej, stawia Święcone na boisku w stodole i oba zastronia stodoły kropi święconą wodą. — Po południu utrzymuje się tu i ówdzie żartobliwy zwyczaj wieszania na drzewie garnka z żurem, którym hustają aż się wszystek wyleje, lub rzucają do garnka kamieniami, dopóki się nie rozbije. W ten sposób żegna się długi wielkanocny post.

Dawniej nierozsądni ludzie wierzyli, że czarownice z całej parafii muszą być w Wielką Sobotę na rezurekcyi w kościele. Każda z nich, chociaż tego nie widać, ma na głowie skopiec, oraz powąskę do cedzenia mleka zamiast chustki. Gdy procesya obchodzi kościół trzy razy, czarownice idą z nią tylko dwa razy naokoło, poczem bocznemi drzwiami wchodzą do kościoła. Łatwo wówczas poznać, które to kobiety we wsi są czarownicami. To też gdzieniegdzie kościelni lub babki umyślnie przymykali boczne drzwi w kruchcie, aby uważać, które kobiety najpierw będą chciały do kościoła wnijść, albo też parobcy ustawiali się przy wszystkich wejściach i żadnej nie wpuszczali do kościoła wcześniej, aż go procesya do trzech razy okrążyła, bo która kobieta przedtem weszła — to czarownica.

Oto garść zwyczajów i wierzeń ludowych, przywiązanych do trzech najuroczystszych dni Wielkiego Tygodnia. Wiele w tem wszystkiem przesady i zabobonu, ale też dużo dobrych i głębokich myśli...

ROZMAITOŚCI.

Przy zdejmowaniu krzyża. Czeska gazeta „Nasze Listy" donosi w Nrze 31 z. m. o wypadku, jaki wydarzył się nauczycielowi czeskiemu przy zdejmowaniu krzyża w szkole, co się obecnie w republice czeskiej dowolnie praktykuje. We wsi Żdirnice koło Hostinnego wykładał nauczyciel dzieciom w szkole, że modlitwa i krzyż są zbyteczne w szkole. Następnie wziął stolik, wstąpił nań i chciał krzyż ze ściany usunąć. Na nieszczęście stolik się przewrócił razem z nauczycielem, który złamał rękę w dwóch miejscach. Zapewnie że teraz odpadnie mu chęć usuwania krzyża, a może sam w boleściach nauczy się wzywać pomocy Ukrzyżowanego.

Bolszewicy postawili pomnik Judaszowi. — W mieście Tambowie — pisze jeden z uchodźców z Rosyi — z rozkazu żyda Trockiego, naczelnika bolszewików rosyjskich, został zbudowany pomnik Judasza Iskaryoty. I w tym jest symbol i sens bolszewizmu. To jest hołd następców swemu poprzednikowi i protoplaście. Judasz był pierwszym czynnym wrogiem Chrystusa i począwszy od niego, planowa walka przeciw Kościołowi nie ustawała ani na chwilę. I oto przyszedł wiek dwudziesty, przyszła straszna wojna, z której ludy chrześcijańskie wyszły zmęczone i zniechęcone, i oto w sztabie Antychrysta wydano rozkaz do ataku, do zaczęcia walnej bitwy. Ale społeczeństwo budzi się z martwoty. W całej Europie tworzą się związki patryotyczne chrześcijańsko-narodowe, których celem jest ratowanie ojczyzny. Krzyż staje na miejscu gwiazdy pięcioramiennej.

Ojciec św. do kaznodziei wielkopostnych. — W Rzymie istnieje od lat dawnych zwyczaj, iż w czasie Wielkiego Postu głoszą kaznodzieje po wszystkich kościołach codziennie kazania, na które licznie uczęszcza lud wierny Wiecznego Miasta. Kaznodzieje przed rozpoczęciem swej misyi udają się zawsze do papieża i proszą o błogosławieństwo, a Ojciec św. w swem przemówieniu przedkłada im, co sobie życzy, by omawiali w kazaniach. Przy tegorocznem przyjęciu kaznodziei papież Benedykt XV przypomniał kaznodziejom swoją encyklikę, wydaną z końcem 1919 roku, o rozszerzaniu wiary św. i o dziełach misyjnych, i wyraził swoje gorące pragnienie, by w kazaniach choć r a z j e d e n poruszyli ten temat i mówili o pracach i ofiarach misyonarzy katolickich i zachęcali wiernych do ofiar na misye.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST SAPIŃSKI

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.